

Alternatywa dla niebieskiego mundurka

16 sierpnia 2008

Niedawno Polskę obiegła wieść o samosądzie. Mieszkańcy warmińskiej wsi Włodowo zatłukli na śmierć recydywistę grożącego im nożem. Wcześniej kilkakrotnie próbowali wezwać policję – bezskutecznie. Policjanci odpowiedzieli im, że mają na głowie ważniejsze sprawy i nie wzruszyło ich nawet to, że bandyta zdążył zranić jedną osobę. Parę dni wcześniej w "Gazecie Wyborczej" i Internecie można było przeczytać o tym, że w samej Warszawie jest już kilkaset "zamkniętych", ogrodzonych osiedli pilnowanych przez prywatnych strażników. Natomiast "ulice w centrach miast pustoszeją, są mniej bezpieczne niż kiedyś" – ubolewał autor artykułu.

W Gdańsku członkowie wspólnoty mieszkaniowej, do której należy jeden z tamtejszych wieżowców wprawdzie nie zdecydowali się na postawienie płotu i wynajęcie strażników, ale kupili kamery i megafony, przez które obserwują i odstraszaają potencjalnych złodziei i chuliganów.

Kilka miesięcy temu mieszkańcy dwóch innych warmińskich miejscowości mając dość kradzieży samochodów i włamań zorganizowali ochotnicze patrole obywatelskie objeżdżające okolice. W wyniku tego ilość przestępstw spadła ponoć o 70 procent.

Czytając takie informacje, nasuwa się nieodparty wniosek, że Policja Państwowa jest zbyt mało – coraz mniej? – skuteczna w zapewnianiu obywatelom bezpieczeństwa. Z drugiej strony wciąż pojawiają się doniesienia o nadmiernej brutalności policjantów. Zwykle brutalność ta jest związana z próbą wymuszenia zeznań od podejrzanych, wobec których brak innych dowodów. Pośrednio dowodzi to również kiepskiej skuteczności w wykrywaniu przestępstw, a przede wszystkim w zapobieganiu im.

Dlaczego wynajęci strażnicy, ochotnicze patrole czy zaangażowani lokatorzy ze wspólnoty mieszkaniowej mają tu wyniki, a policja nie? Brak pieniędzy, na który narzekają policjanci to tylko część wytłumaczenia. No bo przecież ostatecznie pieniądze te pochodzą od tych samych ludzi, którzy, mając dość braku skuteczności policji, wydają dodatkowe pieniądze na płoty, strażników, kamery i paliwo dla ochotniczych patroli.

Problem leży w tym, że nie ma bezpośredniego związku pomiędzy jakością pracy policji mierzoną zadowoleniem obywateli, a zarobkami funkcjonariuszy – zarówno tych szeregowych, jak i tych na górze. To raczej kiepskie wyniki w zwalczaniu przestępczości mogą prędzej skłonić polityków do zwiększenia policyjnego budżetu. Co więcej, politykom tym nie grozi, że niezadowoleni obywatele przestaną płacić. Co najwyżej grozi im porażka w wyborach, ale wynik wyborów zależy od takiej liczby czynników, że nie jest to wystarczający “straszak”. Nie ujmując więc nic wielu uczciwym i pracowitym policjantom, ogólny efekt może być tylko jeden – brak maksymalnego zaangażowania zarówno na poziomie szeregowych funkcjonariuszy, jak i na poziomie zarządzania.

Dochodzi do tego jeszcze jeden czynnik – nadmierne rozmnożenie czynów uznawanych za przestępcze z punktu widzenia obecnego prawa. Skoro czynem karalnym jest posiadanie działki marihuany, picie piwa na ulicy, zebranie, uliczny handel bez zezwolenia czy manifestowanie bez zgody “władz”, to siłą rzeczy spora część policyjnych działań będzie poświęcona zwalczaniu właśnie takiej przestępczości. Może nawet nieproporcjonalnie duża, bo jest to łatwiejsze i bezpieczniejsze.

Co więc zrobić, by zadowolenie obywateli “przekładało” się w jakiś motywujący sposób na działalność stróżów bezpieczeństwa? Nasuwa się prosta odpowiedź – należałoby tę gałąź usług w jakiś sposób urynkować i poddać konkurencji. Ba, ale czy to nie brzmi rewolucyjnie? Czy nie groziłoby to tym, że

bezpieczeństwem cieszyliby się jedynie bogaci?

Jeśli nie chcemy rewolucji, można pomyśleć na przykład o następującym rozwiązaniu – mieszkańcy osiedla czy gminy mogliby mieć wybór pomiędzy korzystaniem z usług Policji Państwowej (w zakresie codziennej prewencji) a korzystaniem z usług wybranego przez siebie szeryfa. Jeśli większość byłaby niezadowolona z usług policji, mogłaby zadecydować o przekazaniu części jej kompetencji (wraz z odpowiednią częścią podatków) wybranemu przez siebie szeryfowi. Szeryf, oczywiście, mógłby być zmieniony na innego. Wprowadziłoby to podwójną konkurencję – po pierwsze, policja musiałaby konkurować o podatki ze wszystkich gmin z potencjalnymi kandydatami na szeryfów; po drugie, wybrani szeryfowie konkurowaliby z potencjalnymi kontrkandydatami, stając co pewien czas do wyborów – całkiem innych niż te do Sejmu, gdyż zamiast na tysiącu rozmaitych kwestii wyborcy skupialiby się na jednej: swoim własnym bezpieczeństwie.

Można spróbować pójść o krok dalej i wprowadzić np. odpisy podatkowe dla ludzi, którzy np. korzystają z usług prywatnych strażników lub organizują ochotnicze patrole. W takim przypadku ludzie ci nie musieliby płacić podwójnie za zapewnianie sobie bezpieczeństwa. Skoro policja nie patroluje ogrodzonego osiedla, to dlaczego ma mieć za to płacone? Dlaczego pieniądze mieszkających tam podatników nie mają być przeznaczane dla tych, którzy rzeczywiście pilnują tam porządku i bezpieczeństwa?

Efektem takiej reformy byłoby to, że na mieszkanie w bezpiecznych, ogrodzonych i strzeżonych osiedlach stać byłoby również tych nieco biedniejszych, których obecnie na to nie wystarcza pieniędzy.

A jeśli ktoś nie boi się radykalnych kroków...

W 1974 r. późniejsi laureaci Nagrody Nobla z ekonomii Gary Becker i George Stigler napisali artykuł, w którym

przedstawili pomysł iście rewolucyjny – zlikwidować policję! Zamiast tego, niech ściganiem przestępców zajmą się osoby prywatne – ochotnicy, stowarzyszenia i zawodowi “łowcy nagród”. Jeśli złapany przez nich podejrzany zostanie uznany przez sąd za winnego, otrzymają nagrodę wypłacaną z majątku skazanego przestępcy, a jeśli ten nie byłby wystarczająco bogaty – z budżetu państwa (które potem ściagałoby dług z przyszłej pracy skazanego, umieszczając go w razie potrzeby w więzieniu). Jeśli podejrzany okazałby się niewinny, otrzymywałby odszkodowanie od “łowcy”, który go zatrzymał. Taki system byłby wysoce motywujący dla ścigających, wymuszałby ich kompetencję i eliminowałby korupcję.

Taki pomysł dla wielu brzmi jak fantastyka, ale okazuje się, że zbliżony system... już funkcjonował. Stosunkowo niedawno, bo w XIX wieku, i to w krajach uważanych za jedne z najbardziej rozwiniętych cywilizacyjnie – Anglii i Stanach Zjednoczonych. W Anglii łapaniem przestępców zajmowały się stowarzyszenia samopomocy sąsiedzkiej – tzw. associations for the prosecution of felons. Ich członkowie płacili składki, z których finansowani byli zawodowi “thief-takers”. Łapali oni tych, którzy popełnili przestępstwo przeciwko któremuś z członków stowarzyszenia i dostarczali przed oblicze sądu. Policję w tym kraju zaczęto organizować dopiero w 1829 roku. W Stanach Zjednoczonych (zwłaszcza na zachodzie, gdzie struktury państwa docierały z opóźnieniem) istniały ich odpowiedniki – tzw. committees of viligance. Znany jest przypadek San Francisco, gdzie w 1851 roku mieszkańcy zawiązali takie stowarzyszenie w obliczu niekompetencji i korupcji państwowej policji, doprowadzając w ciągu kilkumiesięcznej działalności do znaczącego spadku przestępczości. Gdy pięć lat później skorumpowane władze znów dały się im we znaki, zawiązali committee ponownie i znów skutecznie rozprawili się z przestępczością.

Niezależnie od tego warto pomyśleć nad ograniczeniem liczby czynów ściganych jako przestępstwa i wykroczenia. Czy nie

lepiej skupić się na ściganiu rzeczywistych bandytów i złodziei, zamiast poświęcać czas i pieniądze na takie "zbrodnie" jak picie na ulicy piwa lub wina, palenie marihuany, "obraza uczuć religijnych", "włóczęgostwo", rozpowszechnianie pornografii, handel uliczny bez zezwolenia urzędników czy przechodzenie przez jezdnię nie na pasach?...

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: sierp.libertarianizm.pl